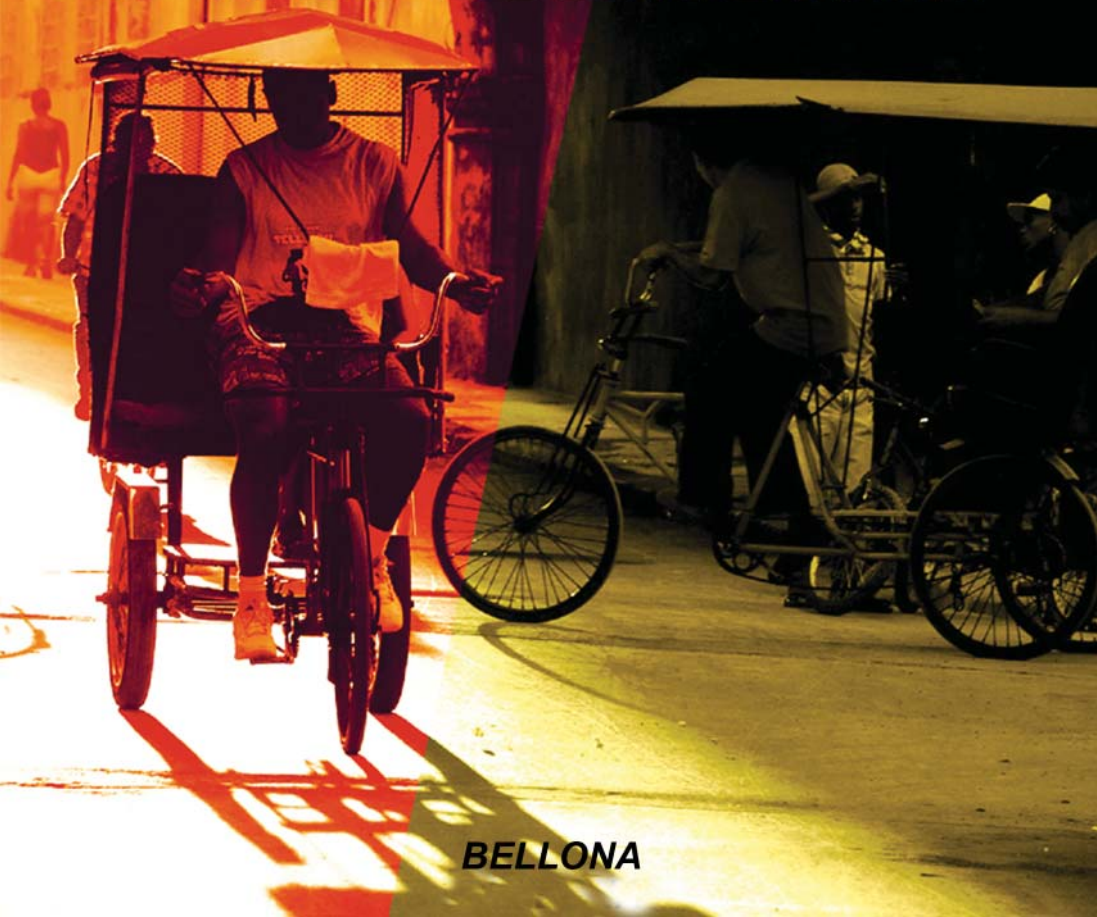


Fragment książki

Plinio Apuleyo Mendoza

Marquez

LISTY
I WSPOMNIENIA



BELLONA

Wstęp

Przechowuję w pamięci ulotną scenę z Paryża, która rekompensuje mi wszystkie dawne chwile, kiedy doskwierał mi głód. To była bardzo długa noc, nie miałem bowiem gdzie spać i spędziłem ją na ławce, przysypiając na siedząco z wciąż opadającą głową, ogrzewając się zbawiennym ciepłem płynącym z wylotów wentylacyjnych metra i unikając policjantów, którzy okładali mnie, ponieważ brali mnie za Algierczyka. O świcie nagle odniosłem wrażenie, że zniknął wszelki ślad życia, skończył się zapach gotowanych kalafiorów, Sekwana się zatrzymała, a ja byłem jedyną żyjącą istotą pośród świetlistej mgły, która spowijała opustoszałe miasto w ten jesienny wtorek. Wtedy to się stało: kiedy przechodziłem przez most Świętego Anioła, usłyszałem zbliżające się z naprzeciwka kroki. Dostrzegłem, że był to mężczyzna. We mgle dojrzałem ciemną marynarkę, ręce schowane w kieszeniach, świeżo uczesane włosy i gdy nasze kroki się zrównały na moście, przez ułamek sekundy widziałem jego kościstą, bladą twarz. Płakał.

García Márquez, biedny i wówczas jeszcze nieznan, zmuszony spać na ławce w parku, co przed chwilą sam nam opisał, przemierza również karty tej książki. To ten sam Gabo, którego poznałem w pewnej kawiarence w Bogocie, kiedy miał zaledwie dwadzieścia lat, a ja może cztery lub pięć mniej. Ten sam,

którego spotkałem w Paryżu w latach pięćdziesiątych, żebyśmy jako przyjaciele przeżyli podobną przygodę na poddaszach, w barach i kawiarniach Dzielnicy Łacińskiej. Ten sam, który objechał ze mną kraje komunistyczne (w pogoni za wiecznie niespełnionym marzeniem), zanim wróciliśmy do Ameryki Łacińskiej, by stawiać pierwsze kroki jako dziennikarze w Caracas, Bogocie czy Hawanie. Dziękując to samo uwielbienie dla literatury, widziałem, jak siedział po nocach, całymi godzinami pisząc opowiadania i powieści. Zawsze pokazywał mi swoje rękopisy. To jest ten nieznaną Gabo, jakiego pamiętamy my, jego najbliżsi przyjaciele z dawnych czasów.

Za zgodą mojego chrześniaka Rodriga, jego syna, załączyłem kilka listów, które Gabo wysyłał do mnie z Meksyku, opowiadając w nich to, o czym właśnie pisał. Daleko było mu jeszcze do sławy. Właściwie to okazała się ona dla niego niewygodna. „Zawadza mi – powiedział mi kiedyś. – Popularność mi przeszkadza, a uznanie bardzo przypomina mi śmierć”. Z taką samą szczerością odetnie się od mitów i parabol, które krytycy wzniosą wokół *Sto lat samotności*. Nie, nie starał się stworzyć alegorii ludzkości. Jego cel, jak powiedział mi kiedyś po skończeniu książki, był znacznie skromniejszy i prostszy: „Chciałem jedynie zostawić poetycki, a raczej przepiękny współczesny ślad świata mojego dzieciństwa, które upłynęło w wielkim, smutnym domu, z siostrą, która jadła ziemię, i ślepą babką, która przepowiadała przyszłość w stojących wodach, i z licznymi krewnymi o takich samych imionach, którzy nigdy zbyt nie rozróżniali szczęścia od demencji ani też nigdy nie stracili niewinności. Tak właśnie rozumiem poemat o życiu codziennym”. Tak, tym właśnie jest przede wszystkim *Sto lat samotności*.

Nie wiem, kiedy zrodził się we mnie pomysł – a może powinienem rzec potrzeba – napisania tej książki. Postrzegałem

to jako coś więcej niż powołanie, być może było to ratowanie doświadczeń, które nie mogły zostać zapomniane. Ponieważ wspomnienia często są niezwykle ulotne, niczym motyle, pomyślałem, że podążając śladem impresjonistów, powinienem odejść od wszelkiej klasycznej, sztywnej konstrukcji i rwać zdania niespodziewanymi podziałami strony, które niczym porażenia pędzla podkreślą wrażenia przeżytej chwili. I oto są, z pewnością zaskakując czytelnika.

I na zakończenie tej książki przypomniałem triumfalne zwieńczenie dyskretnej przygody literackiej, na które Gabo pracował sobie w czasie swoich najtrudniejszych lat: literacką Nagrodę Nobla. My, jego najbliżsi przyjaciele, przeżyliśmy to u jego boku. Wzbudziło to w nas ogromną radość. A w nim, jak zobaczą czytelnicy, kiedy przeczytają zakończenie tej książki, wielki strach.

1

Gdzie się poznaliśmy? W jakiejś kawiarni, bardzo dawno temu, kiedy Bogota była jeszcze miastem lodowatych poranków, powolnych tramwajów, głębokiego dźwięku bijących dzwonów*,

wozów pogrzebowych ciągniętych przez perszerony i powożonych przez woźniców w liberiach i cylindrach.

Miał pewnie jakieś dwadzieścia lat, a ja szesnaście.

To było szybkie i przypadkowe spotkanie, które nie zapowiadało żadnej przyjaźni między dwoma tak różnymi osobnikami: nieśmiałym chłopakiem w okularach, wychowanym przez zawsze ubrane na czarno ciotki, wiecznie zimne domy, pod niebem, które w każdej godzinie groziło spuszczeniem ulewy,

a mieszkańcem wybrzeża, który dorastał, żył i grzeszył w palącym powietrzu bagien i plantacji bananów, w ponad trzydziestu stopniach w cieniu, słuchając jazgotu cykad w ciężkie południa, bezsennych świerszczy nocy.

Tamta kawiarnia, jak wszystkie w tamtym okresie w Bogocie, jest mroczną jaskinią, zatrutą zjełczałymi zapachami i papierosowym dymem, pełną studentów i pracowników spędzających godziny przy tym samym stoliku.

Jestem z przyjacielem, Luisem Villarem Bordą, studentem pierwszego roku prawa, kiedy ktoś donośnie wita go z daleka.

– Ha! Jak się pan miewa, doktorze Villar Borda?

I natychmiast, torując sobie przejście pomiędzy stłoczonymi stolikami, wibrując pośród roju ciemnych, pogrzebowych garniturów i kapeluszy, zaskakuje nas blask tropikalnego garnitu-

* Wcięcie tekstu – świadomy zamysł autora, patrz: wstęp strona 7.

ru w kolorze kremowym, szerokiego w ramionach i dopasowanego na biodrach, niesamowitego garnituru, który wymagałby palm w tle i chyba pary marakasów w dłoniach kogoś, kto nosił go z taką swobodą,

chudego chłopaka, wesołego, szybkiego niczym gracz w bejsbol albo śpiewak rumb.

Nie pytając nikogo o pozwolenie, nowo przybyły zajmuje miejsce przy naszym stoliku. Jego wygląd jest niechlujny. Ma koszulę z kołnierzykiem lepiącym się od brudu, malaryczną cerę i natchnione, linearne wąsy. Strój śpiewaka rumb zdaje się unosić na jego kościach.

Mieszkaniec wybrzeża, myślę sobie. Jeden z tych studentów, którzy przybywają z wybrzeża Morza Karaibskiego, a którym życie przebiega na pensjach, w kantynach i lombardach.

Villar mnie przedstawia.

Wyrzucając z siebie słowa z gwałtownym impetem, jakby były piłeczkami bejsbolowymi, osobnik zaskakuje mnie niespodziewanym pytaniem:

– Aha, doktorze Mendoza, jak tam idą liryczne prozy?

Czuję, jak czerwienię się po same uszy. Liryczne prozy, o których mówi, pisane dyskretnie, tak jak pisze się miłosne sonety w czasach licealnych, zostały opublikowane z karygodną lekkością przez mojego ojca w „Sábado”, tygodniku o szerokim zasięgu, którym kieruje. Zainspirowane takimi tematami jak melancholia zmierzchów na bogotańskiej sawannie, wolę teraz wierzyć, że przeszły przez nikogo niezauważone.

Zdaje się jednak, że tamten mieszkaniec wybrzeża je przeczytał.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć. Na szczęście jego uwagę nieoczekiwanie przykuła kelnerka, rozczochrana dziewczyna o ustach pomalowanych na intensywnie czerwony kolor, która właśnie podeszła do stolika, pytając go, czego chciałby się napić.

Mieszkaniec wybrzeża omiata ją wilgotnym, powolnym i bezczelnym spojrzeniem; spojrzeniem, które ocenia jej biust i biodra.

– Przynieś mi czerwone wino – mówi, nie spuszczać z niej wzroku.

Potem znienacka ścisząc głos, szepcze poufale, z naciskiem:

– Tej nocy?

Grymas wstrętu wykrzywia twarz dziewczyny, która zbiera butelki i szklanki z naszego stolika.

– Mam czekać na ciebie tej nocy? – naciska tamten, cały czas szeptem, w miarę jak jego ręka, łagodna jak gołębica, niby niedbale łąduje na jej tyłku.

– Puszczaj – protestuje kobieta, wymykając mu się poirytowana.

Nowo przybyły tęsknym, najeżonym złymi myślami spojrzeniem obserwuje, jak się oddala, podziwiając jej tydki i kołysanie bioder. Kiedy odwraca się do nas, jego czoło zasnuwają niespokojne rozmyślenia.

– Pewnie ma okres – wzdycha wreszcie.

Mój przyjaciel mierzy go byстрыm, rozbawionym spojrzeniem. Bogotańczyk, sposób bycia mieszkańców wybrzeża nadzwyczaj go bawi.

Ja natomiast zaczynam postrzegać tego typu ze swego rodzaju przerażeniem. Słyszałem, jak mawiają, że mieszkańcy wybrzeża łapią choroby weneryczne, tak jak łapie się przeziębienie i że w swoich stronach spółkują z oślicami

(a w przypadku trudności, z kurami).

Jeśli o mnie chodzi, jestem szesnastoletnim purytaninem o głęboko stłamszonym libido, które sprawia, że staję się podatny na nieszczęśliwe, pozbawione nadziei miłości do kobiet takich jak Ingrid Bergman, Vivien Leigh czy Maureen O’Ha-

ra, które w niedzielne popołudnia oglądałam na ekranach kina Metro, jak śmieją się, drżą, całują innych mężczyzn. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby położyć rękę na tyłku kelnerki.

Gdy mieszkaniec wybrzeża znika równie niespodziewanie, szybko i radośnie, jak się pojawił, nie płacąc za siebie, Villar wyjaśnia mi, kim jest.

– „El Espectador” opublikował kilka opowiadań. Nazywa się García Márquez, ale na uniwersytecie mówią na niego Gabito. Specyficzny przypadek. Masochista.

Nie usłyszałem dobrze.

– Komunista?

– Nie, człowieka, masochista.

– Co to jest?

– Masochista, człowiek, któremu cierpienie sprawia przyjemność.

– Cóż, mnie wyglądał raczej na podchmielonego osobnika.

– Jest typowym masochistą. Jednego dnia pojawia się na uniwersytecie, mówiąc, że ma syfilis. Innego dnia mówi o gruźlicy. Upija się, nie stawia się na egzaminach, dzień zastaje go w burdelach.

Villar melancholijnie kontempluje dym z papierosa, którego właśnie zapalił. Ton jego głosu przypomina ton lekarza stawiającego diagnozę groźnej, nieuleczalnej choroby.

– Szkoda, ma talent. Ale jest całkowicie straconym przypadkiem.

Wiele lat później,

gdy już na dobre byłem przyjacielem tego straconego przypadku, miałem poznać ciężkie okoliczności jego studenckiego życia i jego przyjazdu do Bogoty.

Mogę wyobrazić sobie przestraszonego chłopaka, który na kilka lat przed naszym pierwszym spotkaniem wysiadł z pociągu, zsiniały z zimna, przezornie owinięty w wełny, mając

w głowie wrażenia z tamtej swojej pierwszej, długiej podróży do stolicy:

buczenie starego parowego tylnokołowca, który zabrał go z wybrzeża w górę rzeki; oszałamiający odbłask wód rzeki Magdaleny rozciągającej się w stronę rozpalonych brzegów, gdzie od czasu do czasu słychać harmider mały; pociąg, który sapiąc ze zmęczenia, wspiał się po zboczu spowitego mgłą pasma górskiego, aby nagle zostawić go

w mrokach sztywnego miasta,

z tramwajami pełnymi mężczyzn ubranych jak na pogrzeb, o żółtych światłach, które zapalają się na ulicach, w czasie gdy w starych kolonialnych klasztorach rozbrzmiewają dzwony wzywające na różaniec.

Wieziony taksówką przez swojego opiekuna, stracony przypadek, jeszcze dziecko, wybuchnął płaczem. Nigdy wcześniej nie widział niczego tak posępnego.

Mogę wyobrazić sobie miasteczko, do którego został zabrany później, Zipaquirá, i liceum, swego rodzaju klasztor, grobowy zapach krążganków, dzwony wybijające godziny w posępnym powietrzu wyżyn;

niedziele, w które zostawał sam w bibliotece, czytając powieści Salgariego i Juliusza Verne'a, niezdolny przeciwstawić się smutkowi miasteczka, tak odmiennego od jego świetlistego świata Karaibów.

Mogę wyobrazić sobie także jego niedzielne popołudnia w Bogocie, wiele lat później, kiedy jako student prawa mieszkający w pensjonacie na dawnej ulicy Florián czytał książkę za książką, siedząc w tramwaju, który przecinał miasto z południa na północ,

a potem z północy na południe.

W czasie gdy tramwaj ten posuwał się powoli w słoneczne niedzielne popołudnia po opustoszałych ulicach, porzuconych przez tłumy zgromadzone na stadionie piłkarskim albo na are-

nie walk byków, ten stracony przypadek (opowie mi to wiele razy), ze swoimi osiemnastoma latami na karku, maltretowanymi przez płomienne lęki i frustracje, miał wrażenie, że w tym mieście jest jedynym

bez kobiety, z którą mógłby iść do łóżka,

bez pieniędzy na kino lub walki byków,

jedynym, który nie mógł napić się piwa, jedynym bez przyjaciół i rodziny.

Aby bronić się przed tamtym światem posepnych ludzi andyjskiego płaskowyżu, przed „gogusiami” o wykrochmalonych manierach, którzy patrzyli na niego z kpiącą pogardą, stracony przypadek podkreślał jeszcze bardziej swobodny sposób bycia mieszkańca wybrzeża. Wchodził do kawiarni, witał się donośnym głosem, przysiadł się do stolika, nie pytając nikogo o pozwolenie i, jeśli mógł, próbował umówić się na noc

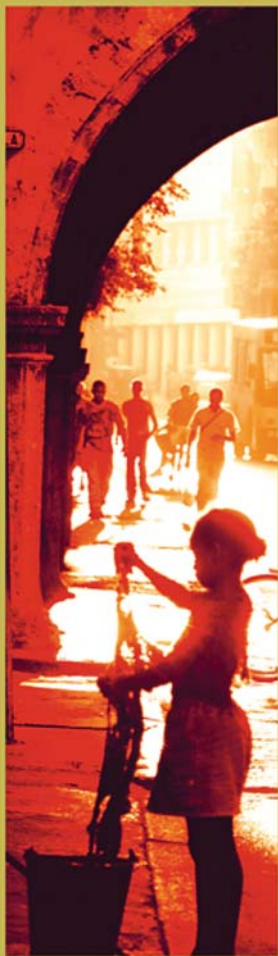
z kelnerką.

W głębi duszy był jednak nieśmiały. Był samotnikiem, który wolał Kafkę od prawniczych traktatów i potajemnie pisał opowiadania w swoim pokoju w pensjonacie, opowiadania, które mówiły o jego bananowym miasteczku, kulonach o poranku i żółtych pociągach.

Krótko mówiąc, ten mieszkaniec wybrzeża w garniturze śpiewaka rumb i w butach w kolorze owocu guawy był bratnią duszą. Ale wówczas nie mogłem tego wiedzieć.

Plinio Apuleyo Mendoza mawia, że jego przyjaciel Gabriel Garcia Marquez, zmarły niedawno powieściopisarz, uwielbiany przez miliony czytelników na całym świecie, czasami uwalniał się od ciężaru swojego własnego mitu i tak po prostu ponownie stawał się zwykłym, prostolinijnym Gabo. Książka ta opowiada właśnie o tych momentach. O prawdziwym Gabo, jakiego znał jedynie krąg jego najbliższych przyjaciół. To wzruszający, a czasem zaskakujący portret kolumbijskiego pisarza, od jego początków jako ambitnego dziennikarza, po wyniesienie go na ołtarze literatury, kiedy przyznano mu Literacką Nagrodę Nobla.

Ponadto książka zawiera jedenaście wcześniej niepublikowanych listów napisanych przez Gabo do Plinia, jego literackiego powiernika. To dokumenty o wyjątkowej wartości, w których pisarz wyraża swoje wątpliwości, nadzieje i trudności, jakie towarzyszyły mu podczas pisania najwybitniejszych dzieł, takich jak *Sto lat samotności* czy *Jesień patriarchy*.



patronat medialny

Plus
radio

BOOKLIPS.PL IIII

RoznajŚwiat

LEJDIS.pl

OBIECZA
KULTURY

dlaStudenta.pl

GILDIA.PL